Lwów, 13. Kwietnia. Nr 44. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobote*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego.
Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

ZNAJDA.

Powieść w jednym tomie.
(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Zmowa.

Rok trzeci dobiega od czasu jak zaczęła się powieść nasza; jesteśmy znowu w folwarku Chałupinieckim. Nic się w nim nie zmieniło, wszystko było po staremu, prócz chyba że do starych lat nowe przybyły, a nowe brudy do starych brudów. Panuje w nim zawsze znajomy nasz pan Jan Pikuła, zawsze czerstwy i zawsze zdrów i rumiany jak rydz, zawsze miłośnik wódeczki, którą się wiernie dzieli z godną małżonką Petronellą z Łużeckich Pikuliną, która równie jak i mąż niezmieniona, kapitalnie wygląda, i mężowi w chwilach dość częstych sporu dosadza niepospolicie wspomnieniem świetnego rodu Łużeckich z którego pochodzi. Ubyło tylko w domu panny Anieli, która po odjeździe ukochanego Kazimierza została niepocieszona. Ale chociaż niepocieszona, niemniej przeto przyjmowała konkury romantyczne pisarza prowentowego, pana Marcina Szypelskiego, i z niezgojoną w sercu raną poszła za niego w miesiąc po rozłączeniu z kochankiem. Nie przypisujmy wszakże tego niestałości uczuć panny Pikulanki, ale okolicznościom silniejszym w życiu ludzkiem od najsilniejszego uczucia. Pan Marcin Szypelski przymrużył jedno oko, patrząc na zawsze kwitnące wdzięki Pikulanki, a przymrużył nawet obie oczy, gdy stary szambelan przez wzgląd na długoletnie usługi ojca, oświadczył się z chęcią wyposażenia córki, co też uskutecznił najhojniej i pieniędzmi, i zbożem i bydełkiem. Gdyby miał trzecie oko, byłby je także przymrużył z radości, gdy go małżonka w niespełna siedm miesięcy obdarzyła tęgim synem, którego przez wzgląd na łaskawych dziedziców ochrzczono Dyzmą Kazimierzem, i który wedle zdania wszystkich okolicznych pisarzów leśniczych i ekonomowien był śliczny chłopiec, i podobniuteńki do ojca. A że rozpacz równie jak nieszczęście samo nigdy nie przychodzi, pan Marcin po śmierci pana Kalasantego Łapeckiego, został przez pana Stanisława przyjętym za jeneralnego ekonoma dóbr Zalesiniec. Panna Aniela zpoważniała i utyła niepospolicie jak na matkę dzieciom i ekonomową przystało, do gospodarstwa wzięła się zawzięcie, a przekonana o swej wyższości umysłowej i wytworniejszej edukacyi, zawojowała męża najkompletniej.

Tak tedy stały rzeczy w chwili gdy po trzech prawie leciech wracamy do folwarku Chałupinieckiego. Była to raz niedziela. W opisanej już przez nas izbie bawialnej i rachunkowej przechadzał się pan Pikuła z miną gęstą, chociaż zafrasowaną nieco, okiem zaanimowanem, a wąsami nastrzępionemi ogromnie. Ręce założył wtył po napoleońsku, i niecierpliwie spoglądał czasem na stół, nakryty rodzajem kolorowej serwety, i przygotowanym do śniadania, miarkując po talerzu nakrajanej szynki, figurującym na samym środku stołu. Niecierpliwość tę swoją dowodził czasem w pół głośnemi piorunami siarczystemi, które pod piecem stojąca Pikulina przyjmowała z wyrazem złośliwego szyderstwa. Pikulina miała bowiem ten prym przed mężem, że się już obdarzyła przedśniadaniowem śniadaniem w postaci płynnej i niepłynnej.

— Darmo się niecierpliwisz... niemogą przecie tak ptakiem przylecieć, przemówiła Pikulina: napij się wódki, i kwita.

— Żeby tylko o to szło!... ale ja ci powiadam, odrzekł Pikuła porywając się za wąs; że się coś złego święci.

— Całe życie byłeś głupi mój Jasiu! zagadła znowu Pikulina ogrzewając się przy piecu z rodzajem filozoficznej obojętności.

— Samaś głupia!... Łużecka nigdzie nie zginie... niejesteśmy zresztą bez grosza krwawo zapracowanego, i na bruku nie zostaniemy, bo mamy przecie córkę przez groblę tylko.

— I Szypelski wyleci...

— Cha! cha! cha!.. widać żeś na czczo! Szypelski wyleci; a od czego Anielcia...

— I wszystko przez tego Znajdę...

— A od czego Anielcia!... ma ona główkę za was wszystkich... rodzona moja córka... nie wdała się w Pikułów.

— Dajże pokój..... bo niech mnie siarczysty piorun trzaśnie....

Rozmowę w tej chwili przerwało wejście znanego już nam także Oleksy Dziuby i Marynki. Jakkolwiek pan Pikuła, dumny kapotą i ekonomską szarżą, pomiatał zwykle chłopską siermięgą, dla jednych Dziubów przez przyzwyczajenie spuszczał mimowolnie z tonu. To też na wieśniaka: Niech będzie pochwalony... odpowiedział grzeczniejszym niż zwykle:

— Jak się macie Oleksa?.. czego chcecie?...

— Ot źle się mam; nasz stary zaniemaga już.

— Cóż chcecie? nażył się już stary...

— Ale zawsze ojciec!... odpowiedział chłopek z czułą prostotą. Niech się jednakże dzieje wola boża... Ja tu do was, z waszem przeproszeniem przyszedł po radę.

— Po radę? zagadł ekonom surowiej, i okiem znawcy zlustrował kożuch Oleksy. Bo przyjść po radę do ekonoma, to jakby do adwokata: śpiewać darmo boli gardło! Zrozumiała zapewne to spojrzenie nasza piękna ale blada i smutna Marynka, i odkrywając chustkę w którą się dla zimna odziała, dobyła kapłonika jak śnieg białego z pysznym, nastrzępionym i rozłożystym ogonem. A skłoniwszy się przed ekonomową oddała go jej. Ekonomowa pogłaskała kapłona a ekonom ciągnął dalej:

— No! no!... to niepotrzebne! i cóż to wam za rady potrzeba.

— Ta że to proszę łaski waszej, o tę moją dziewkę...

Marynka na te słowa zarumieniła się okropnie i oczy spuściła w dół.

— O Marynkę?...

— Aha!... Bo to trafiają się jej ludzie i tutejsi i z Grabowiec, syn przysiężnego, i z Zalesiniec Jurko Kandryba, najbogatszy we wsi wdowiec.

— Wydajcie za Jurka!... to zamożny chłop...

— Ależ wy wiecie, że nieboszczyk pan, i nasz stary tato... będzie na wielkanoc już trzy lata, ułożyli, żeby się ten... Znajda żenił z Marynką... Wesele miało być za dwa lata, a Znajda miał iść na gospodarza. Prawda że nieboszczyk nasz dobry pan dał jemu grunt i chałupę piękną wystawił, ale od dnia do dnia odkładał, Znajdę trzymał na dworze, bo jak ludzie mówią niemógł się obejść bez niego... a potem i pan umarł... bo i siostra pańska umarła... Młody pan niedawno przyjechał... i widzicie z przeproszeniem waszem... do niego nie tak łatwo przystąpić... a ludzie mówią że Znajda już nie będzie chłopem...

— Cóż ja na to poradzę...

— Oto widzicie... mój stary niechce ani słyszeć o innym mężu a z dziewką także... czyby wyście nie mogli dowiedzieć się u młodego pana, czy Znajdę puści na gospodarstwo, czy go zatrzyma przy sobie?...

— Cóż to? ty kochasz tego Znajdę?... spytała ekonomowa dosyć ostro...

Biedna dziewczyna na to pytanie jeszcze się więcej zarumieniła; ton pogardy z jaką przemówiła do niej ekonomowa zabolał ją w sercu, bo Marynka choć prosta dziewczyna ale ma uczucie. I na jej nieszczęście uczucie to od tej chwili kiedy Znajda ujął się za nią, i dał jej pojąć niebespieczeństwo w jakiem się znajdywała, i powiedział nakoniec że ją kocha, że bez niej żyć nie może, to uczucie pierwszą iskrą miłości rozbudzone, wzmogło się w niej do wysokiego stopnia. Dziewczęta wiejskie jeżeli ich nie zbrudzi wczesne a tak łatwo bo z góry idące zepsucie, są zdolne uczuć najsilniejszych. Ich miłość jak u każdego dziecka natury, niezepsutego zimną rachunkowością, jest zdolna najwyższych poświęceń, najdzielniejszego zapału, i najokropniejszej rozpaczy, bo nawet jak tego mnogie dowodzą przykłady, do szaleństwa sięgającej. Marynka kochała Znajdę namiętnie, i kochała go codzień więcej; widząc go, ledwie oczy na niego podnieść śmiała, bo się wstydziła okazać mu tę swoją bezgraniczną miłość, i bała się by jej usta nie wymówiły to pytanie które jej ciężyło na sercu, sen i apetyt odbierało, dawny rumieniec zdrowia zdarło z twarzy, to pytanie: Dla czegóżeś mi mówił że mnie tak kochasz, dla czego? kiedy jesteś teraz tak zimny?.. Lecz te wszystkie myśli i uczucia, instynktowo prawie pojęte, prosta dziewczyna przez instynktowy także wstyd w głębi serca swego chowała. Na zapytanie zatem ekonomowej, tak bez ogródki zrobione, zapłonęła biedna dziewczyna wstydem, i języka prawie w gębie zapomniała.

— Bo to proszę was... wyjąkała po chwili... tak jakoś.. i ludzie już wmówili... i już człowiek się przyzwyczaił...

— Znajda!... przywłoka jakiś!... psiarczuk!... szydziła z Łużeckich Pikulina.

Biednej dziewczynie gorące, bolesne łzy zakręciły się w oczach. A trzeba było milczeć, bo ekonomowej odpowiedzieć nie można. Gdyby tak inna równa jej powiedziała... to co innego!...

— Uważacie mój Oleksa!... odpowiedział Pikuła po chwili, przez którą namarszczył brwi i natarł czuba, jak gdyby głębokim oddał się myślom. Już to ja dla was i dla waszego starego i dla waszego brata wszystko zrobię co mogę... Jakoś ja to pomyślę... i pogadam z młodym panem... No! no! jakoś to będzie! niech mnie piorun...

— Dziękuję wam, dziękuję! — odpowiedział chłopek rad z przyrzeczenia. I odszedł najspokojniej, bo nasz chłopek choć nieufny, jest zarazem bardzo łatwowierny. Był nim przynajmniej do niedawna; przyrzeczeniom tych których uważał za wyżej od siebie stojących, wierzył święcie. Należało tylko mniej może przyrzekać, więcej dotrzymywać; lecz to zwykle była słaba strona natury ekonomskiej. Turkot jakiegoś powozu przerwał w tej chwili głębokie medytacye naszego Pikuły, który po odejściu Oleksy, rozmyślał nad tem, czyby z tej okoliczności nie dało się wyciągnąć co korzystnego naprzeciw nienawistnego Znajdy. To państwo Marcinowie Szypelscy przyjechali do rodziców. Za niemi wszedł także znany już nam Reb Srul Zelmann, zawsze silny, zawsze atletyczny, prosperujący ciałem i sakwą, którą jak twierdzili napełniał ciągle. Reb Srul odwidzał często pana Pikułę, z którym jak dawniej stał zawsze w stosunkach rachunkowości, znanych już nam nieco. Widząc z karczmy jadących z góry Szypelskich, zrozumiał, znając trudne tej chwili okoliczności, że ten zjazd nie bez kozery, i że na folwarku odbędzie się narada, w której mogła być korzyść i dla radzących i dla niego. I zgadł oczywiście, bo w rzeczy samej Szypelscy przybyli

do Pikulów w celu naradzenia się, bo jak się dowiemy zaraz, szło o skórę wszystkich.

Już to jeżeli szło o radę ważną, niewiele w niej mógł pomódz pan Marcin Szypelski. Dosyć było spojrzeć na jego twarz mizerną, żółtą, z jedynym wyrazem chorobliwości moralnej i fizycznej, że ten człowiek niewiele wymyśleć zdolny. Najcharakterystyczniejszym był u niego nos długi, przeciągły i szpiczasty. Nosy takie według Lawatera mają oznaczać przebiegłość, lecz Lawaterowi mogło się zdarzyć że się poszkapił. Nos Szypelskiego był oczywiście na to, aby go zań wodzić. Nie pamiętam co tam Lawater powiada o uszach, to pewnie, że ogromnie długie w górę wzniesione uszy Szypelskiego przypominały pewne zwierzę, którego nazwa weszła w przysłowie niebardzo zaszczytne dla tych do których się stosuje.

Nastąpiła naprzód po przybyciu radnej junty wódka, hypokrena wiejskich natchnień! Czerpali z niej Pikułowie po razy kilka z należytą uroczystością, czerpał i Szypelski, czerpnął i Reb Srul, a nawet pani Aniela, wyleczona z dawnej romantyczności, ucięła spory kielich ojcowskiej kminkówki. Wódeczkę zakąsili sporą porcyą szynki, w czem Szypelski prym wiódł przed wszystkiemi. Reb Srul który zastąpił tym czasem miejsce Pikuliny, przy piecu dobył z zanadrza kawał zaschniętego gugla, i raczył się nim w milczeniu.

— No! i cóż tam nowego? zagaił posiedzenie pan Pikuła.

— Źle tatulu dobrodzieju! — odrzekł Szypelski cieniutkim niemęskim głosem.

— W twojej głowie! — mruknęła Aniela.

— W waszych głowach! — mruknęła Pikulina, nalewając nowy kieliszek wódki.

— Nu! nu! po źle będzie dobrze! — dodał żyd filozof.

— Co wy baby rozumiecie! — mówił dalej Pikuła, odbierając od żony wypróżniony kieliszek. Długie włosy, krótki rozum! To pewna, że nasz młody pan, co dawniej nie cierpiał tego Znajdy, wierzy teraz w niego, radzi się go, i wzywa do wszystkiego.

— Aj waj! co to za dziwota! Jak stary jegomość umarł, a potem brygadierowa umarła, póki młodego pan nie przyjechal, wun się trudnil wszystkiego, wun rachunków prowadzil, a co wun powiedzial to mu panna podpisywała.

— O! wa! wielki rozum prowadzić rachunki.

— Wun ma rozum, delikatny rozum, choć tak wygląda jakby nic nie wiedział, ale z przeproszeniem jegomościów, wun ma jeszcze jedną rzecz.

— Cóż to takiego? — zapytał pogardliwie pan Pikuła.

— Wun ma wielkiego uczciwości! fein! gur a fein! nie ma czego mówić!

— To też to właśnie łotrostwo z jego strony, aby nas swoją uczciwością zgubić!

— Oj tak tatulu dobrodzieju! to samo kubek w kubek co pan Reb Srul mówi, powiada o nim mój pan baron.

— Jak to baron! zkądże on do baronostwa przyszedł.

— Ma racyą mój mąż! pan Stanisław Łapecki został baronem, i cóż? teraz więcej znaczy od pana Kazimierza Zaklickiego — dodała Aniela zwrócona do matki, zadzierając nosa do góry.

— Łużeccy choć nie baronowie lepsi od nich obydwóch! — wtrąciła mamunia.

— Na tego baronostwa wun dawno zasłużył! u niego pański rozum!

— I ciągle proszę tatka dobrodzieja przymawia gospodarstwu Chałupinieckiemu, powiadając że tên Znajda łajdak więcej się rozumie na gospodarstwie odemnie i od tatka dobrodzieja, i że tatkowi dobrodziejowi ciężko przyjdzie złożyć rachunki ekonomiczne.

— A co jemu do tego? co jemu do Chałupiniec!

— I dużo, bardzo wiele! — zagadł starozakonny.

— Ciekawam bardzo dla czego? — przerwała Pikulina.

— Bo pan baron z przeproszeniem waspaństwa ma bardzo dobry nos!

— Nos znowu! co też pan arendarz plecie! — wtrąciła pani Szypelska.

— Przewąchuje wun naprzód do kogo Chałupieniec należyć będzie. Ale niech waspaństwo dalej radzą, co ma być to będzie! — dodał pan Zelman z tajemniczą miną.

— Jak on dalej mówił ten twój baron?

— Proszę tatka dobrodzieja, nic więcej nie mówił, ale ze sposobu jak do mnie o tem wszystkiem mówi, ja widzę, że i ja i tatko dobrodziej wylecimy wkrótce.

— Co się tycze mnie! — zagadła Aniela i spojrzała na wszystkich z góry; jestem pewna, że zostanę w Zalesińcach, a więc i ty zostaniesz.

Wszyscy popatrzyli ciekawie na panią Szypelską, i mąż choć się nie popatrzył na nią, ale za to poskrobał się w głowę.

— Pan baron mówił ci co o tem kochana Anielciu! — zapytała matka z wyrazem niby dowcipnym.

— Pan baron zna się na ludziach! — dodała córka mizdrząc się do lustra od much popstrzonego, które wisiało na ścianie z dodatkiem starych wieńców zbożowych i jeszcze starszych fascykularzy rachunkowych zań włożonych.

— Na kobiciech! chciała pani powiedzieć! — zamruczał żyd z przebiegłym uśmiechem.

— Ja wiem, że ty Anielciu chodzisz zawsze do niego pożyczać książki do czytania, ale ja powtarzam tatowi dobrodziejowi, że źle, i że ten Znajda oszust, będzie komisarzem jeneralnym na Chałupińcach i Zalesińcach.

— Wun będzie czem innem nie komisarzem.

— Czemże będzie? — zapytali ciekawie.

— Co ma być to będzie! ale trzeba żebyście waspaństwo mieli rozum, i wzięli się do tego Znajdzie.

— W tym właśnie sęk! niech mnie piorun zatrzaśnie siarczysty! ja już zupełnie głupi, i nie wiem co robić z tym Znajdą.

— I już nawet zaczął się inaczej ubierać! niby już ze szlachecka — rzekła Pikulina.

— Posmaruj chłopa miodem, zaczął sentencyonalnie pan Pikuła, a resztę przysłowia połknął w nowym kieliszku.

— Powiadają, że to panna kazała koniecznie mu się przebrać! — dodała Szypelska.

— Żeby go może już raz ożenić z tą Marynką.

— Zapewne! to przecie chłopowi nie powierzyliby komisarstwa.

— Pana Stanisława ja pewna! a co do pana Kazimierza, mogę także pomówić z nim.

— Dobrzeby było Anielciu, żebyś kiedy poszła do dworu.

— I namówić go, aby ożenił Znajdę! — dodał papa.

— I przypomnieć się jemu! — dodała matka.

— Z przeproszeniem waspana! to wszystko głupstwo, to stare rzeczy. Z panem baronem! nu! to jeszcze jakiś czas pójdzie, ale i to głupstwo.

— Ale cóż robić? — zapytał Pikuła.

— Żenić Znajdę niepotrzeba. Jemu trzeba wypędzić go furt z Chałupiniec.

— Ale jak?

— Ja państwu powiem nowinę, co mi przyniósł mego Zięcia dziś w nocy z Tarnopola. Nowego mamy rekrutacyja...

— A niech cię piorun siarczysty zatrzaśnie z twoją nowiną panie Srul. Co nam do tego.?

— Aj waj! waspaństwo macie z przeproszeniem rozum, ale nie macie żydowskiego rozum. Znajda nie będzie komisarzem, nie zostanie w Chałupińcach; wun będzie rekrutem, wun pójdzie furt ztąd do wojska!

Dosłownie powiedziawszy, wszyscy zapomnieli języka w gębie, tak wielkie było zgromadzonej rady zadziwienie.

— Rekrutem! a to jak? — zapytał Pikuła z wysadzonemi na wierzch oczyma. (D. c. n.)

Nie wierzcie w serce.

Nie wierzcie sercu, jako nie wierzycie,
Rzece, co z łona Tatrów się wylewa;
Serce jak strumień w ścieśnionem korycie,
Gdy wzbierze, w przepaść bezdenną porywa,
I w krwawym trudzie, kiedy się wyleje,
Czarne zostawia płynienia koleje.

Robota serca wątła i nietrwała...
Wiatr ją rozwieje silniejszym podmuchem;
Dzieło rozumu, jak niezłomna skała,
Urąga burzom, silne świata duchem.
Budujcie twierdze z cegiełek rozumu,
Serce oddajcie w dziedzictwo dla tłumu.

O, co po sercu w tem zaklętem kole,
Kędy mocniejsze poruszenie duszy
Rażącą plamą na pogodnem czole,
I kędy boleść pusty śmiech zagłuszy;
W godową szatę wieku ustrojeni,
Nie wierzcie w serce, gdy was łza rumieni.

O, co po sercu w poważnych rozmowach;
W nich usta tylko pracują i oczy;
Wiele mądrości w odważonych słowach,
Z których się każde jak perełka toczy.
Nie wierzcie w serce, kiedy na rozmowę,
Wystarczą oczy, i słowa miodowe.

Nie wierzcie w serce, z którego obficie,
Cierpki żal ziemski płynie i tęsknota...
Nie wierzcie w serce... a gdy się znudzicie,
Zawsze wam mądrość zostanie żywota.
W godzinę klęski i niepowodzenia,
Ona wyniesie nad łzy i cierpienia.

Mądrość mądrości... o, jakże szczęśliwy,
Kto ją zrozumiał, i dotarł do szczytu;
Będzie miał pokój ze światem prawdziwy,
Będzie miał w duszy pogodę błękitu.
Nie wierzcie w serce, ach w burze brzemienne,
Milsze dla oka jest światło promienne.

Nie wierzcie w serce!... jak nad skałą burze,
Poprzed was przejdą zdarzenia i lata;
O, co po sercu, po tym orle w chmurze,
Co mknie pod niebem, a tęskni do świata.
Gorsze od piekła duszy rozdwojenie,
Gorsze od śmierci śmiertelne gonienie.

Dalej do wioseł!.. gdy siła się zetrze,
Gdy rozum, wiosło, pryśnie, w czem ratunek?
Pod wami woda, nad wami powietrze,
A miłość własna cały wasz ładunek.
Któż po te skarby siecie swe zarzuci?...
Kto was wysłucha, i brzegom powróci?.

Nie wierzcie w serce!... jeżli w waszem ciele,
Drga jeszcze jedna struna utajona,
I tę zerwijcie; gdy w pęknięciu skona,
Dzwięk jej ostatni, jak skonało wiele:
Dusza motyle skrzydła wnet rozwinie..
Nie wierzcie w serce, co krwią na świat płynie!....

Błogo zmysł buja z więzów wyzwolony,
Z kwiatka, na kwiatek, jak motyl jaskrawy,

Urodą, łzami kwiatów niewzruszony,
O, jaki błogi ten żywot bezłzawy.
Z łez wyzwoleni, w uczuć poniewierce,
Nie wierzcie w serce, o, nie wierzcie w serce!

J. Z.

Najnowsze dzieła.

Kilka wspomnień uniwersyteckich

(przez Johna of Dycalp.)
(Dokończenie.)

Po egzaminach następuje wyjazd na wakacye. Ostatni wieczór który przed rozstaniem się młodzież przepędza razem, skreślił pan Jankowski w bardzo pięknym obrazku. Zwierzano się zamiarów, podawano rady, składano się na pomoce. Było to pożegnanie braci pełnych sił i nadziei. A więc nie oddających się smutkowi i w chwili rozłączenia się. Szczęśliwi i weseli byli młodzieńcy. Nawet blada twarz biednego Adama rozjaśniła się i zaczynał pojednywać się z losem, co mu przynajmniej tak w porę pospieszył w pomoc. Ludwik nagły bogacz i trzpiot jak zawsze, żartował sobie z niespodziewanego szczęścia, co mu tak obcesowie rzuciło się na szyję. Erazm zamyślony i mało mieszający się do rozmowy, już jest duszą przy matce i siostrze. A Marcinkiewicz szczęśliwszy od wszystkich, bo szczęśliwy uczuciem pięknego czynu i prawdziwie wielkiej w jego położeniu ofiary. Dalej wprowadza autor: Krzystalewicza, młodzieńca pokorniuchnego, bladej twarzy, wycieńczonej natężeniem myśli i bezsennością, z uśmiechem pełnym dobroci i sporym zwojem papieru w drugiej ręce; frak zapięty jednym guzikiem wyżej; poeta i filozof przyszedł teraz czytać rozprawę, jak sam powiada w g u ś c i e o d r ę b n y m, pod napisem: N o w i n a i z m i a n a w i e k u m e g o. Dość będzie przytoczyć początek tej rosprawy:

«Wyraz o d r ę b n y znaczy taką okoliczność i takie zdarzenie, które żadnego pomiędzy sobą, aczkolwiek najmniejszego związku nie mają. Lub inaczej mówiąc: niepodobieństwo w tem zachodzi, ażeby tylko jedność w przyrodzeniu miała swoje siedlisko. Dla lepszego zrozumienia w przykładach to oznaczam: będzie dajmy na to, drewniany dom mający w sobie kształt prostokąta i t. d.»

Postać tego poety, filozofa jest przewyborna. Przypomina ona nam młodzież poznańską i lwowską z czasów istnienia Tygodnika literackiego. Znaliśmy sami we Lwowie postać podobniusienką i z powierzchowności i z pomącenia się w jej głowie wyobrażeń najróżnorodniejszych. Dnie i noce trawił na studyach Hegla, aż dostał istotnego prawie pomieszania myśli.

Młodzież, rzuciwszy o ziemię brzemie trosk i zeszytów lekcyjnych, szczęśliwa, wyzwolona, z piosenką na ustach wyjeżdza na wakacye.

Cała ta dobra, serdeczna, malownicza i tak ożywiona drużyna, zostawia wszędzie po sobie miłe wspomnienia w przejeździe. Nawet drogi i lasy odbijają tę wędrowną szczerą wesołość. Nieraz śród nocnej ciszy dają się słyszeć niespodziane dźwięki gitary, klarynetu, skrzypiec, albo donośne i sforne głosy jakiejś piosenki, jeszcze w tych stronach nieznanej, która jednak niezadługo się upowszechni.

Lecz czyliż to tylko? O, niejedne zapewne myśl piękną i podnoszącą z ziemi, niejeden wynalazek pożyteczny, niejeden czysty promień oświaty, niejedno zaprzeczenie zadawnionych przesądów zaniosą oni w progi rodzinne! Bo chociaż każda nowa idea, a zwłaszcza u nas, «wchodzi jak klin tępym końcem,» podług słów Fontella, ciężka ta robota postępuje wszakże daleko pomyślniej, daleko inaczej, gdy syn, brat, gdy głos niepodejrzany, najmilej wpadający do serca i najwymowniejszy bo z całą znajomością miejscowych warunków i należytym względem opowiada i udowadnia te piękne, w istocie Mości Dobrodzieju! piękne rzeczy, z których albo by się uśmiechnęło, albo w rzeczy samej uśmiechało się nieraz, spotykając je w książce drukowanej, lub słysząc w opowiadaniu którego z sąsiadów, co sobie szczęśliwie uroił być bocianem i mistrzem całej parafii i obwodu!

Ale nie wszyscy mogli liczyć na te rozkoszne dwa miesiące szczęścia i wytchnienia. Jak dzikie ptaki, którym choroba lub obcięcie skrzydeł nie daje ulecieć w miłe strony, z przenikającym jękiem usiłują wznieść się do góry, w chwili gdy swobodni spółbracia przeciągają nad niemi kluczem, i wesołemi, rzekłbyś naigrawającemi się głosy, nęcą za sobą: tak i biedni uczniowie, których los skazał na pozostanie w mieście, przepędzali zwłaszcza te te dni pierwsze instynktowo wędrowne, z głową smutnie spuszczoną, z energią półprzygasłą. Bo i młodzież, jak te gromadne ptaki, wtedy tylko czuje się w całem znaczeniu słowa sobą, gdy jest razem. A czyliż podobny do swojego rodu jakikolwiek zimujący u nas naprzykład żóraw, tęskny, znędzniały, nastroszony, stojący po całych godzinach na jednej nodze, z oczyma przymrużonemi, z jakąś myślą elegiczną, daleką?

Marcinkiewicz mógł sobie lat przeszłych tej przynajmniej dozwolić przyjemności, że przeprowadzał towarzyszów do pierwszego popasu, przepędzał z nimi kilka wesołych godzin, i przysiadłszy jeszcze na wiorst kilka i jeszcze na wiorst kilka, rozstawał się z nimi smutny, ale z piersią odświeżoną, i z tą w sercu otuchą, że poświęcając pracy i nauce te dni nawet, które inni spędzą na łonie rodziny, kiedyż przecie będzie mógł spocząć na stanowisku niezawisłem, choć ciężką walką zdobytem; kroczył więc do miasta smutnie lecz spiesznie, jak więzień zdany na porękę i już doliczający niewielu zakreślonych dni niewoli. Ale w tym roku, ani tej nawet nie mógł on odbyć przejazdki. Jeden z kolegów, ku któremu najwięcej czuł

pociągu, który mu nawzajem okazywał jak najwięcej przyjaźni, choć nie tej wprawdzie wylanej, wzniosłej i nieograniczonej, o jakiej marzył ekzaltowany młodzieniec), słowem dobry Erazm, o którym w kilku słowach wspomnieliśmy na początku, powszechnie lubiony za łagodność charakteru i obejście się pełne serca i uprzejmości, w sam dzień zamknięcia uniwersytetu przeziębił się szklanką lodów dostał silnego zapalenia, i patrząc z rozpaczą na odjeżdżających bliskich swych sąsiadów, nie mógł im nawet polecić kilka słów do kochanej matki i siostry: bo ani mówić, ani wstać z łóżka zacny Frank mu niepozwolił. Szczęśliwi odjeżdżający zostawują Erazma dozorowi Marcinkiewicza. To tak naturalnie! A któżby znów miał pozostać przy chorym, kiedy wszyscy wyjeżdżają? Sam Erazm z żalu i boleści, że w chwili, której czekał tak tęsknie, przykuła go ta nieszczęsna słabość, długo myśli tylko o sobie i nie może ocenić poświęcenia się towarzysza, co w najgłębszem milczeniu siedząc przy jego łóżku, podaje mu lekarstwa, czuwa na każde skinienie, i jest ciągle przy nim, wtedy gdy go wszyscy opuścili.

Zawiązuje się między chorym Erazmem a Marcinkiewiczem czuła przyjaźń. Marcinkiewicz donosi matce i siostrze Erazma o jego chorobie. Rozpoczyna się jakiś sympatyczny związek między Marcinkiewiczem a młodziutką siostrą Erazma. Ona lubi czytywać listy Marcinkiewicza, pisywane do jej matki; on listy Krzysi pisane do brata, w których z takim udziałem mówi o pielęgnującym brata w chorobie przyjacielu. Razu jednego, gdy Erazm niby drzymał, skrada się na palcach Marcinkiewicz do szufladki wyjmuje listy i odczytuje je z uniesieniem. Postrzega to Erazm i w umyśle chorego budzi się jakieś podejrzenie, podejrzenie, iż to zapewne dla Krzysi przyjaciel z takiem niby poświęceniem go pielęgnował, iż w tem poświęceniu było wyrachowanie, cel samolubny.

Ta podejrzliwość chorych, osobliwie wtedy gdy już do zdrowia przychodzić poczynają, jest wielką prawdą psychologiczną. Ciało już zaczyna być zdrowsze, ale po dłuższej chorobie ciała, duch osłabł. Rekonwalescent jest prawie zawsze przykrym, niecierpliwym, samolubnym w najwyższym stopniu. Ten stan duszy odmalował autor bardzo żywo. Całą przebiegłość logiki chorego, całe piekło jego podejrzeń odkryły Marcinkiewiczowi dopiero sny Erazma. Chory we śnie zwykle głośno fantazyował. Otoż razu jednego zbudził się Marcinkiewicz słysząc Erazma głośno przez sen rosprawiającego. Mówił on:

„Poznałem cię dosyć, aż nadto. Słodkim uśmiechem i tą serdeczną przyjaźnią mię nie podejdziesz. Doprawdy nie trać darmo czasu. Szukaj gdzieindziej szczęścia. Radzę i proszę. Zachodziłeś mię, bardzo zręcznie bardzo umiejętnie, zdaleka, ale ktoś cię zdradził. Zgadnij! cha! cha! cień zdradził! Bo to było tak, moja kochana matko! Leżę raz sobie obrócony do ściany i patrzę na księcia Reichstadt. A jemu się zdało, żem zasnął. I zaraz, widzę na cieniu, dyb dyb cichutko, skradł się do mojego stolika i bierze list Krzysi. A toż na co? chciałem zapytać, wszakżeś go już czytał, panie! I mówiłeś mi, że wolisz ten list niż wszystkie plotki i czułostki pani Sevigné i jej córki! Ale tą razą, widocznie inne było czytanie. Oparty na ręku to uśmiechał się to wzdychał. I widać mi było na ścianie, jak na dłoni, że myślał sobie te słowa: cóż robić! ponudzę się z nim do końca: on mię zaprosi z sobą nn wakacyje, i ty matko oddasz mu Krzysię. Otoż dla czego, kochana matko, nie mogłem prędzej wyzdrowieć! Oni się zmówili z Frankiem. Zamiast lekarstw, dali mi jakiejś trucizny, ale nie śmiertelnej: bo trzeba im było tylko, abym chorował długo. Inaczej, widzisz sobie matko, nie byłoby przyczyny abyś zań wydała Krzysię.“

Erazm wyzdrowiał i podejrzenie powzięte znikło wraz z chorobą. Ale Marcinkiewicz powziął stałe postanowienie i tym razem poświęcić swe uczucia. Już dawniej matka Erazma zapraszała Marcinkiewicza aby skoro syn jej wyzdrowieje, przyjechał z nim razem na wakacye, aby mu osobiście podziękować mogła. Erazm nalegał aby mu Marcinkiewicz towarzyszył, usuwał wszelkie trudności i przeszkody które Marcinkiewicz wynachodził. Nic nie pomogło. Wróciwszy raz z miasta oświadczył Erazmowi, iż go professor Grodeck zobowiązał na resztę wakacyj do pomocy przy uniwersyteckiej bibliotece, a nie dodał, że mu zacny Grodeck w takim jedynie razie podaje tę propozycyą, jeźli niema zamiaru albo zręczności wyjechania dokądkolwiek z miasta.

Życie młodzieży akademickiej aż potąd z wielkim opowiedzianie talentem. Obrazki są rzewne, za serce ujmujące. Przesuwają się przed nami postacie Grodecka i Franka, professorów. Postacie te są wprawdzie za pobieżnie skreślone a do uzupełnienia obrazu akademików wileńskich potrzeba było odsłonić jeszcze więcej stosunków akademików z profesorami i wpływ ubóstwianych tychże professorów na młodzież. Autor wspomnieniom uniwersyteckim chciał nadać budowę powieści, i w drugiej części snuje dalej żywot Erazma, Ludwika i Marcinkiewicza, po opuszczeniu uniwersytetu. Ładne i w tej części są ustępy niektóre, ale budowa powieściowa jest wątła, a z bohatyrów swych tak c o n a m o r e skreślonych w pierwszej części, nic silniejszego nie zdołał utworzyć w życiu praktycznem. Dobry Marcinkiewicz, dobrocią wdowy po safianniku ujęty, przez wrodzoną dobroć swą i przez wdzięczność żeni się z nią i staje ojcem tych dzieci które uczył. Krzysia idzie za Ludwika. Marcinkiewiczowie jadą do Bessarabii i tam osiadają. Jadąc tam przejeżdzają przypadkiem przez wieś gdzie gospodarują Ludwikowie. Zabawili u nich dni kilka. Cóż to za święta, wzorowa, pisze Ludwik do Erazma, jakiemś rozrzewniającem, że tak powiem biblijnem przywiązaniem kochająca się para. Niedar-

mo Krzysia, która wciąż za niemi wodziła oczyma, odpowiedziała mi niecierpliwie, gdym ją o coś pytał: Nie przeszkadzaj mi, o zmiłuj się nie przeszkadzaj: ja się uczę kochać. Jak widzimy jest w tem jakaś chorowita sentymentalność, która we wszystkich pismach Jankowskiego psuje wrażenie całości.

Tatarzy krymscy.

Tatarzy nie są starożytnemi mieszkańcami Krymu. Przyszli oni dopiero w czasie wielkiej wędrówki Mongołów na zachód, pod Dżyngiszchanem i osiedli w południowej części Krymu, podczas kiedy inne, jednoplemienne z nimi hordy, usadowiły się w północnej części półwyspu i dalej na stepach, ciągnących się na północ Czarnego i Azowskiego morza, prowadząc tułackie, koczownicze życie.

Trudno jest powiedzieć, czy Tatarowie od przybycia swego tutaj przechowali czystość swojej rasy, czy też przez zmieszania się z Grekami, Genueńczykami, Turkami i Czerkiesami zatarli swoję mongolską fizyognomią; jakkolwiek bądź, dzisiejsza ich powierzchowność nic nie ma w sobie mongolskiego, ale w ogóle nosi na sobie cechę rasy kaukazkiej. Plemię południowego Krymu, postawą swoją i pięknemi rysami twarzy, całkiem różni się od sąsiadów i jednoplemienników Tatarów nogajskich, na których widoczny jest ślad pochodzenia mongolskiego.

Historya Mongołów i sprawionego przez nich wstrząśnienia w dziejach świata, jest jeszcze dosyć ciemną. Dwa pasma ludności mongolskie i tatarskie, stanowiły podstawę potęgi Dżyngischana. Zdaje się, że wojownik ten ludy mongolskie posunął był szczególniej na wschód i południe, a ludy tatarskie na zachód i północ; bo kiedy się potęga mongolska utrwaliła, my nie napotykamy żadnego mongolskiego narodu, z wyłączeniem tylko wcale nielicznych Kałmuków, ale tylko tatarskie; przynajmniej same tylko tatarskie plemiona pozostały w Europie i w niej osiadły.

Po śmierci Dżyngischana, państwo jego rozpadło się na sześć głównych chanatów, z których jeden po tej stronie Kaspijskiego morza obejmował podboje europejskie, był państwem kipczackiem, a jego władcy zwali się chanami złotej hordy. Później państwo to rozpadło się na trzy oddzielne chanaty; kazański, astrachański i mała Tatarya. Siedlisko złotej hordy nad Wołgą zniknęło; państwa astrchańskie i kazańskie zostały zawojowane przez Rossyą; tylko jeden chanat krymskich Tatarów dotrwał do trzeciej ćwierci XVIII wieku.

Chanowie krymscy, od XIV wieku, nieprzerwanie pochodzili ze sławnej familii Girejów, albo Gerajów, którzy mienili się prostymi potomkami Dżingischana, co jest historycznym faktem.

W XV wieku w państwie kipczackiem zaszły wielkie zamieszania, spowodowane współzawodnictwem kilku pretendentów do tronu.

Mengli Girej chan, który najsłuszniejsze miał do niego prawo, został wygnanym. Uciekł on nasamprzód, od Genueńczyków do Mangupu; potem zwrócił się do zdobywców Konstantynopola, do wielkiego sułtana Muhameda II, prosząc go o pomoc. Ten przyrzekł mu ją, pod tym jednakże warunkiem, iż Mengli Girej uzna się wassalem Porty. Muhamed rzeczywiście przywrócił go na jego państwo. Stosunek chana krymskiego, jako wassala, względem porty był osobliwszym: polegał on na traktacie, zawartym pomiędzy Muhammedem i Mengli Girejem. W skutek tego traktatu, sułtan miał prawo zrzucać i stanowić w Krymie chanów, ale zostawiano mu tylko prawo wyboru pomiędzy książętami z domu Gerejów. Pod żadnym pretekstem jednakże sułtan nie miał karać gardłem książąt tego domu. Kraje chana miały być pewnem i nienaruszonem schronieniem dla każdego. Po modlitwie za sułtana, jako głowy wszystkich wiernych; miano się modlić w meczetach także i za chana. Każda prośba, jaką chan miał zanosić do Porty, powinna była być uskutecznioną; chan nie miał nigdy prosić nadaremnie. W wojsku przed chanem miano nosić pięć buńczuków; przed sułtanem tureckim nosi się ich sześć. Długo o tym punkcie traktowano; chan obstawał za sześcią buńczukami, bo, jak powiadał, krew Dżyngischana równie była sławną i świętą jak i krew Osmana; jednakże wszystkie te dowody nic nie pomogły i chan musiał pozostać przy pięciu buńczukach. Podczas wojny, Porta była obowiązana wypłacać chanowi na utrzymanie jego gwardyi rocznie 150 kies (84,300 fl.) a na utrzymanie straży Mirzy Kapikulisa 80 kies (44,960 fl.)

Potęga i wpływ chana na dworze stambulskim były nadzwyczajnie wielkie. Kiedy na początku XVIII wieku Dewlet Girej chan miał posłuchanie u sułtana, już go był pożegnał i miał siadać na konia, nagle zatrzymał się, mając jednę nogę w strzemieniu, a drugą na ziemi. Sułtan spostrzegłszy to, rozkazał dowiedzić się, co wstrzymuje jego wyjazd. W tedy kazał mu odpowiedzić chan, że dopóty nie wsiędzie na konia, dopóki mu nie przyniosą głowy wielkiego wezyra Mehemeta paszy. Natychmiast miał ją; minister w momencie został ścięty.

Kiedy chan przybywał do Konstantynopola, oddawano mu tam królewskie honory. Wezyr i wszyscy wielcy urzędnicy musieli spotykać go przed miastem do którego on odbywał wjazd tryumfalny. Chan miał prawo siedzić w przytomności sułtana i pić z nim razem kawę; do tego, tak samo jak padyszach, miał przy turbanie bogatą spinkę. Pomiędzy Turkami i Tatarami było osobliwsze podanie, że kiedy dom Osmanów wymrze, wówczas panowanie nad Turkami i Tatami, wraz z godnością padyszacha, przejdzie na następców Dżyngischana.

Owo wassalstwo chana krymskiego względem tureckiego sułtana trwało do 1774 roku, i Turcya, aż do tego czasu, miała w chanacie krymskim potężne przedmurze przeciw Rossyi. Pokojem zawartym w roku 1774, Porta przyznała zupełną samodzielność i niezależność od niej krymskiego chana. (Stało to się głównie na żądanie Rossyjskiego Cara.) Krymskie chaństwo, odcięte od Turcyi, utraciło eo ipso wszelkie polityczne znaczenie. W 1783 roku Krym został wcielony do Rossyi. Chan miał sobie wyznaczoną pensyą. Ostatni chan Szagin Girej musiał opuścić Krym (1783 r.) i udać się na mieszkanie w głąb Rossyi, tego olbrzymiego i potężnego państwa które przed wieki, słabe, stękało długo pod jarzmem tatarskiem. Mieszkał z początku w Woroneżu, potem w Kałudze i tęsknił za krajami poddanemi prawu proroka, gdzie róże kwitną, gdzie cyprysy rosną, a z pomiędzy nich świecą księżyce złote, i sterczą białe lasy minaretów, z których po pięćkroć dziennie płynie w czystem powietrzu dźwięczny głos muezzina. Prosił Cesarzowej, aby mu pozwoliła wyjechać do Konstantynopola, czego pozwolono mu było dokonać. Ale zaledwo przybył był do Istambułu, ażci Padyszach (spowodowany przez Rossyą) wysłał go na wyspę Rodus, gdzie tęskny i samotny życia swojego dokonał. Ostatni jego żyjący potomek Kerem Girej długo żył w Anglii, i nareszcie przyjął tam religią chrześcijańską. Z pobocznych linii mają jeszcze być w Krymie potomkowie domu Girejów; żyją tam oni jak prosta szlachta krymska. (D. c. n.)

Rozmaitość.

* Dowiadujemy się iż **Najjaśniejszy Pan** wyraził życzenie, aby zamierzone przez wszystkę ludność austryackiego państwa illuminacyą na cześć zaślubin ulubionego Monarchy zaniechano, a wydatek ten na dobroczynne raczej obrócono cele. Z tego powodu i w naszem mieście illuminacyi nie będzie. Donieśliśmy o nieszczęściu, którem dotknięte zostało świeżo miasteczko Cieszanów. Dopełniając życzenia **Najjaśniejszego Pana**, mieszkańcy tutejsi mogliby przyjść

w pomoc pogorzelcom biednym, składając przeznaczone na iluminacyę kwoty na wsparcie ludności Cieszanowa. Dotąd złożono:

1) H. W. Kallenbach 5 złr.
2) Bezimiennie 5 złr. m. k.

* **Jego Excellencya hr. Namiestnik** wyjechał wczoraj o godzinie trzeciej po południu do Wiednia.

* Zwracamy uwagę amatorów muzyki kościelnej, iż jutro popołudniu o godzinie piątej pod dyrekcyą pana W. Smaciarzyńskiego w kościele jezuickim wykonane będzie sławne Miserere, utworu włoskiego kompozytora 17go wieku Gregoria Allegri. Oryginał tej sławnej kompozycyi posiada jedynie biblioteka Watykańska w Rzymie, i nieudało się dotąd nikomu dostać odpisu tego dzieła. Czas jakiś nawet pod klątwą było zakazane wszystkim śpiewakom udzielanie komukolwiek swych partyi w tym utworze. Daremnie Mozart będąc w Rzymie usiłował kopię tego utworu uzyskać. Lecz wkrótce wykonywano to dzieło; słyszał je Mozart, a mając najcudowniejszę dotąd pamięć muzykalną, wróciwszy do domu przelał całą kompozycyą na papier i w r. 1771 ogłosił drukiem w Londynie. Mozartowi więc zawdzięcza świat muzykalny, iż i w innych miastach wykonują to dzieło. W Rzymie podczas wykonywania tego śpiewu w kaplicy syxtyńskiej kościół jest cały czarno przybrany, a papież i całe kolegium kardynałów leży krzyżem. Opisać nie mogą podróżni tego wrażenia, jakie ten śpiew i ta cała scena na obecnych czyni.

* Przy astronomicznem obserwatorium paryskiem był czynny przez lat przeszło czterdzieści astronom: Mauvais. Był on przyjacielem Jakóba Arago i należał do umiarkowanego stronnictwa republikańskiego. Zasiadał także na ławach konstytuanty. W przeszłym miesiącu usunięto go z posady przy obserwatorium. Przywykły do tego zawodu w taką wpadł rozpacz, iż wystrzałem z pistoletu życie sobie odebrał.

* Hotel Sgo Mikołaja w Nowym-Jorku musi opierać dziennie 2,000—5,000 sztuk bielizny. Jeden mężczyzna i trzy kobiety wywiązują się z tego olbrzymiego zadania, za pomocą bardzo prostego przyrządu. Walec drewniany $2\frac{1}{4}$ łokcia średnicy, długi $2\frac{3}{4}$ na stosownym koźle poruszany jest za pomocą małej machiny parowej. Wydrążona oś tego walca kommunikuje rurami z wodą wrzącą, zimną i parą. Wypełniwszy walec wodą do połowy, wielkim otworem wrzuca się naraz 500 sztuk bielizny z stosowną ilością mydła i alkalicznej farby; zamknąwszy klapę otworu, walec obracany jest wolno w jednym kierunku, a potem w przeciwnym. Ten ruch przemienny jużto zanurza bieliznę w wodzie, to ją znowu wydobywa, uderzając nią o ściany walca siłą odśrodkową. Podczas tej operacyi wprowadza się para, która w ciągu piętnastu minut przeniknąwszy wskróś bieliznę, wymyka się otworzoną w tym celu rurką. Następnie wprowadzają wodę gorącą, której dostarcza zgęszczacz (kondensator) machiny; poczem woda zimna po kilku obrotach opłukuje brudy. Skoro woda ocieknie z bielizny, rozwieszają takową w szuszarni, z kąd po 21,000 obrotach uskutecznionych w 6ciu lub 7miu minutach, wychodzi prawie sucha a rozwieszona na rurach, dosycha do reszty w pokoju ogrzanym rurami, w których znajduje się para.

Przyjechali dnia 10. 11. i 12. kwietnia do Lwowa:

PP. hr. Seweryn i Olga Borkowscy, z Szuparki. Ciemierzyński Michał, z Brzozdowiec. Drohojewski Eustachy, z Złoczowa. Golimentowicz Alexander, z Tolczowa. Lorenc Karol, z Stanisławowa. Mathieu Teodor, norwedzko-szwecki wice-konsul, z Gałaczu. Pietruski Konstanty, z Podhorodec. Wadowski Edward, z Kochanówki.

PP. Batowski Alexander, z Kulikowa. Brzozowski Jan, z Stanisławowa. Czerwiński Jan, z Remizowiec. Drozdowski Mikołaj, z Dobrzanicy. hr. Henryk Fredro, z Dubanowiec. Friedberg Adolf, z Sokala. Fischer Antoni, z Czerniowiec. Kochmański Grzegorz, z Jarosławia. Kuniński Mikołaj, z Stryja. Loreth Antoni, z Doliny. Mochnacki Ignacy, z Tarnopola. Mikuli Krzystof, z Stanisławowa. Obmiński Napoleon, z Koszarek. Papara Stanisław, z Dalnika. Rulikowski Kajetan, z Switarzowa. Szumański Eustachy, z Tarnopola. Tarnowiecki Grzegorz, z Jarosławia. Torosiewicz Emil, z Szuparki Witosławski Józef, z Zędowic. Zawadzki Józef, z Tarnopola.

PP. Eminowicz Kajetan, z Smereki. Hołubowicz Jan, z Stryja. Jaworski Felix, z Zarudziec. Mokrzycki Jan, z Stryja. Rozłucki Bonifacy, z Stryja.

Wyjechali dnia 10. 11. i 12. kwietnia ze Lwowa:

PP. Borkowski Stanisław, do Jarosławia, Brzozowski Henryk, do Wodnik. Grabianka Tomasz, do Ohładowa. hr. Dzieduszycki Izydor, do Izydorówki. Kotowski Zygmunt, do Brzeżan. Kuźmiński Michał, do Mikołajowa. Malczewski Włodzimierz, do Skwarzawy. Marschal Otto, do Krakowa. Pitsch Karol, do Brodów. Schuller Franciszek, do Czerniowiec. Smarzewski Franciszek, do Tarnopola. Stokłosiński Felix, do Medyniec. Sozański Sylwester, do Złoczowa. Uniszewski Ignacy, do Halicza. hr. Thoroczkaj, do Brzeżan. br. Uracca Józef, do Krakowa. Wagner Karol, do Krakowa.

PP. Bielski Stanisław, do Stryja. hr. Kordula Fredro, do Bożykowa. hr. Piotr Krasiński, do Rohatyna. Onyszkiewicz Adolf, do Lisiatycz. Rozwadowski, Franciszek do Stanisławowa. Skólski Nikodem, do Werwoliniec. Trzciński Piotr, do Stryja. Vivien Wincenty, do Wysocka. Wierzchowski Edgar, do Pleśnian.

PP. Ciemierzyński Michał, do Rozdołu. Kuniński Mikołaj, do Stryja. Morawski Konstanty, do Podhorzec. Rollinger Franciszek, do Mikołajowa.

Dzisiejszy. **Kurs lwowski.**		Gotówką				towarem.		
Dukat holenderski	złr.	6	kr.	15	złr.	6	kr.	20.
Dukat cesarski	»	6	»	18	»	6	»	24.
Półimperyał zł. rosyjski	»	11	»	—	»	11	»	4.
Rubel srebrny rosyjski	»	2	»	5	»	2	»	7.
Talar pruski	»	2	»	1	»	2	»	3.
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	»	31	»	1	»	32.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	»	92	»	30	»	92	»	50.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.

Amszterdam	114.	Marsylia	—.
Augsburg za 100 złr.	$135\frac{3}{4}$.	Medyolan za 300 lirów	$133\frac{1}{2}$.
Bukareszt	—	Paryż za 300 franków	$161\frac{1}{4}$.
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy	$135\frac{3}{4}$.	Agio duk. ces.	—.
		Srebra agio	35.
Genua	—	Pożyczka 5% $85\frac{9}{16}$. $4\frac{1}{2}$	$76\frac{3}{4}$.
Hamburg za 100 tal. banco.	$101\frac{1}{2}$.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—	Akcye banku	1211.
Liwurno	—.	Kolej północna	2240.
Londyn za 1 funt szterl.	13. 18.	Obl. ind. 5%.	—

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**